



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartal-
nie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidt^a
kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny
z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Rs. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z HARMONIJ JESIENNYCH.

Południe senne pół zieloność zwiędła
W srebrzyste pasma oprzędło—
Milezą poźółkłych drzew i wzgórków szczyty—
I po nad wód zwierciadła
Głusza przypadła,
Tak, że jedynie wietrzyk w gąszczach skryty,
Ilekroć zbudzi w nich dreszcze,
Uschła gałązka szeleszcze,
Lub liść bladawy
Szemrze wśród trawy.
I nigdzie chmurki, plamki, ni obłoka—
Tylko, jak zajrzysz z wysoka,
Niebo do koła,
Nie już błękitne jak jest wzrok anioła,
Lecz jak go miewa
W dal patrząc dziewa:
Przyémiony pyłami złota.
I spokój wszędzie. Bowiem zwolna cała
Ziemska robota
Na to ustała,
By w znoju czoła setne dawszy plony,
Obchodzić mogła Pański Rok skończony.
Chodźmy na pola. Smutku tam jest wiele,
Lecz i pociechy też słodkiej....
O! mój milczący aniele
Patrz—jak te blade stokrotki,

Dni ostatecznych towarzysze wierni,
Wśród zżętych dumają ścierni....
Kaźda z nich, zda się, wspomina
Ubiegłe tylko co lato,
I choć już zima
Szronem się zżyma,
Śni sobie wiosnę skrzydlatą....
Nieprawdaż moja jedyna:
Że jest uroczym i ten smutek cichy,
I ta pociecha,
Co poprzez łyzy się uśmiecha,
Jak wonne kwiatów kielichy,
Zemdlone skwarem, odświeżone burzą,
Które, gdy słońce głowę do snu skłania,
Iskrzące rosą słą mu pożegnania.

O! nim się nieba zachmurzą,
Powiedz mi, duszo ty tkliwa—
Jakże? Więc tylko kto utracił dużo
Spokojnym bywa?
Patrzę w około—tak—o! jakże mało
Jesieni biednej zostało!
W szumiących ścierniach bladych kwiatów nieco,
U drzew ostatki zieleni....
Nieba! toż ona
Samotnie kona—
Bo już i ptacy, indziej gdzieś zwabieni,
Za słońca śladem w świat lecą.

A nad zdeptaną tą chwałą,
Jakże to nieublaganie
Dokoła wskrós rozedniało
Niebios bł. skanie!

Wiatr tak ucieszenie chmurki przecz przepędza.
Dzień tak się wdzięczy—jak już i nie było!
O! wszak jest przykrą tą promienna nędza—
I ten wesoły uśmiech nad mogiłą?

Chodźmy ztąd — chodźmy. — Smutno tu. Piers
[wzdęta
Łkaniem nabiera, łzami brzmieją oczy....
O! póki dusza uroczy
Swój Raj pamięta,
Lepiej mieć jeszcze choćby bardzo mało,
Niżeli przeżyć wszystko, co się miało.
Bo gdy nadejdzie martwe święto zimy,
W którym ni gromów czekać ani tęczy,
To któż zaręczy:
Że po niem wiosnę ujrzymy?

Felicyan.

KSIAŻKI DLA DZIECI.

Przemysł księgarski zwykł rok rocznie ze zbliża-
jącą się porą świąt Bożego Narodzenia—kolendy—
przygotowywać pewien zapas książek, mogących
stanowić podarek świąteczny, podarek, któryby za-
znaczył nam przyjemnością doznaną uroczysty dzień
wielkiego święta—godów religijnych i rodzinnych,
bo Boże Narodzenie nosi na sobie szczególniej po-
dwójny ten charakter. Rodziny i uczniem przyja-
źni związane ze sobą osoby pragną przez miłą wy-
mianę darów okazać życzliwość wzajemną, a miej-
sce kosztownego cacka, krótkotrwałej zabawki lub
cukierka, może zająć książka, której na przynętę dla
oka daje się zwykle wytworna sukienka pięknej

oprawy i zwyczaj, ze względu na swój cel przyjemny, może się przetrwać z wolna na zwyczaj użyteczny. W początku zimy właściwej, wśród długich jej wieczorów, gdy mrozy i śniegi zamykają w domu mieszkańca krainy północnej, nowa książka zjawia się przed nim jak gość z idealnego świata wiecznej wiosny i zieloności, wiecznego światła i ciepła — ze świata wiedzy lub poezji. Czyż to więc nie prawdziwy promyk gwiazdki niebieskiej, nie najlepsza świeteczność wprowadzona w powszednią koleję życia? Większa lub mniejsza ilość elegancji, na kolendowe podarki rozkupionych, dowodzi w nas wyższego lub niższego stopnia życzliwości rodzinnej, przyjaznej uprzejmości towarzyskiej, ale liczba sprzedanych wtedy książek to niezawodny już próbiez: w jakim te uczucia rozwijają się kierunku? Bo można kochać a kochać, można w najświętsze z natury swej uczucie nie świętości nie wmieścić, być w niem egoistą, z serdecznych swych uderzeń tylko samolubne używanie czerpiącym, który niższą jedynie stroną swej istoty przywiązuje się do drugich: kocha nie dla nich a dla siebie. Taką nieraz bywa miłość ojców, matek na pozór bardzo tkliwych, tak nieraz gruntuja się związki przyjaźni. Stroi się w córce lalkę ładną, chowa się w synu ambicję osobistą, zadawalnia się w dzieciach sybarytyzm swój serdeczny, bynajmniej nie lepszy od sybarytyzmu innego, a różny tylko. Przy takim nastroju uczuć rodzicielskich świętowanie rodzinne staje się łatwo uctowaniem próżności, marnotrawstwa, zbytku. Dziecko w podarku rodzicielskim dostaje zgubne ziarno złych nawyków przyszłości: umiłowanie przepychu, lekkomyślne przyzwyczajenie do rozrzutności, spalenie smaku na błyskotliwych cackach mody.

Zła lekcja życia kryje się wtedy pod kwiatem ni- by uczuć rodzinnych, a nigdy niebezpieczeństwo pod tym względem nie było tak wielkim jak obecnie. Przemysł zbytkowy otacza nas i oblega niemal, trzeba mu się bronić prawie, bo ciśnie się do nas gwałtem pod postacią przeróżną. Jest to obraźny kamień cywilizacji: materialnemu jej rozwojowi musi stróżować wyższe, duchowe życie pojęcie, aby równowaga moralna zmieszana nie została, aby szala nie przeważała się na tę stronę, na którą punkt ciężkości ludzkiej padać nie powinien. Przeszłość ta coraz bardziej jest nam potrzebna i francuzka autorka, wykładająca kobietom na kursach Sorbony ekonomię domową, Eugenia Hippeau, miała rację powiedzieć, że dziś nie potrzeba już prawie moralizować kobiety przeciw skąpstwu i chciwości. Były to — jej zdaniem — wady bardzo wielkiej liczby kobiet za czasów, gdy Fenelon pisał dla nich. Dziś, gdy zbytek rozszerzający się coraz bardziej przez wyroby nowoczesnego przemysłu, uderza na kobietę szturmem niejako, rozrzutna, nieogłędna wydatkowość staje się ogólną niemal wadą kobietą. Nie zawsze przecież zbytkuje ona bezpośrednio dla siebie, na rachunek czysto osobistego używania: jeżeli tylko jest słaba, jeśli nie umie się podnieść do ukochania szlachetnego, czyni celem swej wady istoty sobie drogą i staje się grzesznie zbytkującą żoną, grzesznie zbytkującą matką. Wtedy psuje przez miłość, poniża przez przywiązanie słabe, przez uczucie małodusznie pojęte i surowy moralista, smutnie w przyszłość młodych pokoleń patrzący obywatel, może je przekląć gniewnie, odtrącić pogardliwie, może zawołać z gorczyzą, że mimo wszystkiego, co się dziś pisze i mówi, kobieta jest niemniej istotą niższą, Ewą, która wiecznie w dół ściąga, że w ludzkości, w rodzinie ona to przedstawia materią, ku ziemi ciągnącą.

Ta poezja religijna, która dała początek kolendzie, powinnaby przecież bronić przeciw złym wpływom chwili koła rodzinne. Wszakże to gwiazda Chrystusowa rozsypuje te dary po ziemi, która drgnęła radośnie przeczcuciem zstępującego ku ludzkości Boga. Czyż matce prawdziwie pobożnej — pobożnej sercem a nie ustami — samemu — nie należy zamyslić się poważnie, jakim powinien być jej dar spromieniony niemal odblaskiem cudu, przeniknięty wonią świętych i uszanowania godnych tradycji? Czyż datek takiej chwili nie powinien być obliczony na uciechę tylko najszlachetniejszych pragnień, nie powinien zadawalniać tylko przez strony uczuć najpodnioslejszych? Wszakże rozbudzenie chęci do używania wyższych — duchowych, intelektualnych rozkoszy, jest niezaprzecalnie przez wszystkich

pedagogów uznanym obowiązkiem edukacyjnym, dla czegożby więc kolendy, gwiazdki godowej, „daru Chrystusowego“ nie uczynić środkiem, do tego celu wiodącym? I we wszystkich innych stosunkach uczucia serdecznego, między ludźmi, których łączy miłość, przyjaźń, przywiązanie z wezwów krwi wynikłe, czyżby również nie była to chwila najspobniejsza do rozbudzania szlachetnych skłonności ducha: iskier złożonej w nas poezji, umiłowań idealnego piękna, którego dziedzinę otwiera sztuka? Niech ojców córkę, matkę żonę, kochający człowiek kochaną kobietę obdarzy w sposób taki, aby dar kolendowy nie był zadowoleniem próżności i zachętą do zbytku, ale podniętą dla wyższych ducha aspiracji, rozkoszą artystyczną, pomocą naukową, a i sam sobie drogocenny dar uczyni. To jego ukochanie, jego przyjaźń, szczęście jego rodzinne ubogaci się zarazem.

Książka, którą dziecko dostaje od rodziców jako podarek świeteczny, natychmiast nabiera w jego oczach jakiejś ceny większej i czytaniu samemu daje to znaczenie wyższe, dlatego książka jest najlepszą dla starszego już nieco dziecka kolendą. Dla dzieci młodszych i zabawka ładna, stosownie dobrana złą nie jest. I to także może się stać poezją dzieciństwa; taka naprzykład szopka pod palmami, do której aniół pastuszków wiezie, taki konik, na którym śmiały jeździec dumnie hasa z szabelką, która mu brzęczy u boku, z ładownicą, którą przez ramie wzieści, to też odemknięcie pierwszego pola dla fantazyi młodzieuchnej. Ale dla dziecka starszego książka łączy w sobie wszystko, co dar kolendowy zalecać powinno — jest istotnie promykiem światła dla duszki młodej.

W tym roku liczba wydanych dla dzieci książek jest mniejszą niż zwykle, co przecież nie można już stanowczo za zły znak uważać. Brak tegoroczny przypada głównie na przekłady i przeróbki z literatury obcych, które dotychczas przeważnie zasilają piśmiennictwo dzieciinne, i kto wie czy to nie jest jedynie rok przejściowy, rok przesilenia na lepsze? Przekłady bywały bardzo często lichy, często język w nich nie mógł być uważany za szkołę dobrego pisania i mówienia — i krytyka podniosła się przeciwko temu. Pismo nasze wołało kilkokrotnie, że karmimy tak ustawicznie umysły młode strawą zagraniczną? Wtedy nawet, gdy przekład odpowiada wszystkim warunkom składni i stylu, zawiera w sobie, przez ducha książki, ten żywioł obcy, który czyż powinien wciąż być poddawany kształcącemu się dopiero umysłowi? Wiele było w tem winy wydawców, którzy dla obrazków tańszych, gdy być mogą z zagranicy sprowadzane, żądali przedewszystkiem od pisarzy tłumaczeń lub przeróbek, a te wypychały książkę oryginalną. Mamy niewątpliwie kilka bardzo dobrych dziełek z takich przekładów, lub obrobień powstałych, a do tych zaliczyć trzeba wszystkie, które wyszły z pod pióra Ancezyca, dla czego przecież takie leniwe podpieranie się cudzemi siłami, twórczością ducha cudzego? Niemcy nam to wymówili przy okazji wystawy rolniczej, że choć dostarczyliśmy okazów racjonalnego, dobrego gospodarstwa, wszystko niemal było pracą na polu działalności obcej, do nas tylko przeniesionej. Nie produkowaliśmy ras zwierząt domowych, u nas wytworzonych; nie sialiśmy gatunków ziarna u nas wykształconego — braliśmy gotowe zagranicznej działalności wyniki i pracowaliśmy dopiero w kierunku myśli obcej... Takie żywienie się tem, co inni twórczo wypracują, taki brak samodzielności, jest smutnym świadectwem lenistwa duchowego. W literaturze więcej jeszcze niż w dziedzinie ekonomicznej taka importacja masowa upokarza i do ubóstwa prowadzi, więc też jeszcze źle nie wróże z tego faktu mianowicie, że nam w tym roku między książkami dla dzieci brak tłumaczeń. Może na rok przyszły więcej oryginalnych książek się ukaże.

Czy nie z powodu usunięcia się przekładów nie ukazała się żadna nowa książka popularno-przyrodnicza, co jest niewątpliwie szkoda i brakiem. A przecież mamy bardzo zdolne pióra, któreby w tym kierunku pracować mogły, że wymienię tylko autorkę *Wieczorów czwartkowych*, *Listków i Ziarn*. Pisarka ta łączy w sobie wszystko, co od pisarza dla młodzieży wymagać należy: dobry, piękny nawet język, ciągłą bacność na względy pedagogiczne, znajomość przedmiotu, który obrabia. Trzeba

się spodziewać że w roku przyszłym praca jej ubogaci literaturę młodych czytelników.

Za to spotykamy się z nowem w tej dziedzinie literatury piórem p. Anastazyi Dzieduszyckiej. Czytelniczki Bluszczu wiedzą, że pisarka to zasłużona, myślicielka głęboka, obecna jej praca przecież jest jedynie przekładem — dobrym, starannym przekładem bardzo potrzebnego podręcznika dla młodzieży, chcącej poznać ten świat mytów i wierzeń starożytnych, który jako tło główne sztuki i klasycznej literatury Greków i Rzymian, wchodzi w skład niezbędnych wiadomości każdego wykształconego człowieka. Dzieło przełożone z niemieckiego przez panią Dzieduszycką nosi tytuł: *Olimp czyli Mitologia Greków i Rzymian, z dodaniem wiadomości o Bogach Egiptu, Indyi i Krain Północy*, przez A. H. Petiscusa. Bardzo piękne i liczne drzeworyty objaśniają tekst, dobrze i podług nowej metody napisany. Jeden tylko wielki brak jest zarazem wielkim błędem w podręczniku tego rodzaju: niema wcale w tym panteonie mytów starożytnego świata mitologii ludów sławiańskich. Pyszny Niemiec nie uważał rzeczy za potrzebną, ale w przekładzie polskim opuszczenie tego działu, czyni książkę niekompletną i wymaga temu drugiego, który powinien ukazać się w roku przyszłym. Tak to najczęściej bywa z przekładami: nie znajdujemy tam wzmianki o nas i uczymy się przedmiotu traktowanego w zakresie, który nas zupełnie pomija i z dziedziny świata niejako wykreśla.

Z działu historii jedna tylko ukazała się książka, przynosząca też młodego czytelnika w odległy, bohaterski świat grecki. Napisana oryginalnie przez Florjana Czepielińskiego, nosi ona tytuł: *Slawa, opowiadania historyczne z dziejów starożytnych*, lecz poniżej, pod kreską dodany napis: *Greccy*, zdaje się dowodzić, że jest to jedynie tom pierwszy publikacji obszerniejszej, która ukazując się częściowo, podług jednego wszakże planu, skreślona będzie. To co mamy przed sobą, jest szeregiem życiorysów poczynających się od heroicznych czasów Grecji, a kończących się na Filipomenie, to jest z upadkiem niepodległości greckiej. Życiorysy te obejmują tak bohaterów jak mędrów, a założeniem autora jest uczynić z nich wstęp do nauki historii, a raczej samą naukę historii stopnia pierwszego, podług planu Libelta, który chce mieć tę naukę historii, podzieloną na trzy stadyum. Pierwsze z nich powinno się oprzeć na biografiiach podanych chronologicznie, ale bez jednostajnego ciągu wypadków. Dziecko już w roku dziewiątym życia może być do tak nauzonej historii dopuszczonem, a wielka korzyść ztąd wynika, że przy następnym porządnym wykładzie nauki, już znajdzie gotową wiadomość ważniejszych faktów i znać będzie dzieła znakomitszych ludzi.

— Matka może być jego nauczycielką — pisze autor i dodaje sposobem rady, aby życiorysy czytane kolejno, czytane były zawsze z mapą obok rozłożoną, co stanie się takim przygotowawczym kursem geografii, jak życiorysy będą wstępnym kursem historii. Wtedy geografii — jak słusznie autor uważa — ożywi się dla dziecka interesem, jakiego mieć nie może, gdy przedstawia się jedynie, jako sucha nauka ziemioznawstwa. Życiorysy pisane są żywo, umiejętnie i mogą korzystnie działać na rozwój umysłu dziecka, na szlachetny uczuć jego kierunek, szkoda tylko, że język nie odpowiada nastrojowi piszącego, który często go kaleczy i daje mu zwroty obce. Gdyby korektor, czyściej mową władający był usunął tę wadę — ważną, osobliwie w książce dla dzieci — literatura dziecienna zyskałaby wyborne i na rozpowszechnienie zasługujące dziełko. W dalszym też ciągu publikacji, który jak mam nadzieję, miejsce mieć będzie, tak postąpiłoby wypadało, tymczasem zaś ta matka, którą autor wezwał, aby pomagała synkowi swemu do pierwszej nauki o tych wielkich ludziach, którzy mu ideał godności ludzkiej wytworzyć mają, mogłaby z delikatnym ołówkiem w rękę dopełnić tej zapomnianej pracy korektorskiej; rzecz warta jest trudu.

Wydanie książki staranne, papier, druk i drzeworyty ładne, dla czego przecież odbicie dzieła miało miejsce aż w Lipsku? Dla jakich bądź celów wydawniczych uczynionem to zostało, jest to zawsze krzywdą dla przemysłu naszego.

A przybywa nam na polu typograficznym nowy zastęp pracowników i wśród tegorocznych publika-

cyi dla młodszych dzieci, znajdujemy książeczkę składaną przez zecerki pracujące w drukarni pana Noskowskiego. Druk bardzo wyraźny, staranny i poprawny dowodzi, że kobieta może się w tym kierunku na zdolnego pracownika wykształcić. Książeczka jest napisana również przez kobietę, raz pierwszy o ile mi wiadomo piszącą dla dzieci, lecz którą czytająca publiczność już zna, jako autorkę kilku ładnych wierszy i korespondencji w Tygodniku Ilustrowanym pomieszczonych. *Podwieczorki u Jady, przez Jaskółkę*, jest to jak gdyby zbiorek wiadomości o przedmiotach, któremi dziecko miejskie na wsi zaciekawione być może. Brak planu nie pozwala nazwać książki *poglądową* o owych przedmiotach *nauką*, niemniej przecież stanowi ona miłą i korzystną czytaną dla dziecka średniego wieku, zaleca ją bowiem piękny język i forma opowiadania przyjemna. Zamieszczona na końcu komedyjka jest zresztą napisana, lecz głównie pierwszy rozdział książki, zawierający wspomnienie Wilanowa, polecam uwadze młodych czytelników. Gdyby autorka, której talent szczególnie opiera się na uczuciu, a styl miły jest i wdzięczny, poświęciła całą książeczkę opowieści o Wilanowie, młoda publiczność byłaby zyskała niepospolicie zajmujące dzieło. Opisy wybitniejszych miejscowości krajowych, skreślone przez poetyczne pióro *Jaskółki*, utworzyłyby mogły wybory przyczynę do geografii naszej.

Powieści dla młodszej dziatwy, przełożone przez Jana Chęcińskiego ze zbioru sławnej autorki angielskiej miss Edgeworth, tworzą też dobrą i zajmującą książeczkę. Jeszcze młodszy, bo od trzech do siedmiu lat liczący ludek dostał od p. Chęcińskiego ładniutką kolendę, pod tytułem *Malowanika*. Jest to nauka o rzeczach mogących podpaść pod oczy dziecka, podana mu w szeregu ładnych, z pewnym estetycznym smakiem dokonanych obrazków, które objaśnia tekst złożony z udatnych i pouczających wierszyków. Nie wiem tylko czy słusznym skarconem zostało przez autora rezolutne chłopię, pytające ogrodnika, co zawierają jego kosze? Gdyby ciekawość malców pytających się o widziane przedmioty była niegrzecznością, to cała nauka, którą dziecko osiągnąć może z *Malowanika*, opierałaby się na niegrzeczności. Mała dziatwa bywa często bardzo bystrą, to też pilnie przestrzegana konsekwentność, jest pierwszym pedagogicznym warunkiem pisarza dziecięcego.

(Dokończenie nastąpi.)

RODZINA

jako stowarzyszenie się do szczęścia.

(Dokończenie).

Owe duchowe siły życia, zwane przymiotami duszy lub charakteru, które na pniu samodzielności zaszczerpane być winny — siły, których tutaj wyszczególnić nie mogliśmy bez rozszerzenia nad miarę zakresu pracy — nie są temż samemi dla mężczyzny jak dla kobiety. Wspólną, jednaką jest tylko samodzielność, bo i mężczyzna i kobieta są zarówno istotami o własnym życiu, własnym ruchu duchowym, bo i mężczyzna i kobieta *sobą* być musi, choć dla *siebie* wyłącznie żyć niema prawa. Nietylko kierunek wrodzony, ale i przeznaczenie spełniające się w życiu przepisuje odmienną wychowania. Dopóki się nie zmieniają pojęcia zasadnicze, zachowujące nietykalskość uspołecznionego bytu, dopóty zakres działalności kobiety mniejszym będzie, szerszym od wskazanego mężczyźnie przez nawyknięcia odwieczne ludzkości — nawyknięcia, które stały się dla niej prawem potężnym, przez żaden chyba już postępek w równouprawnieniu wygładzić się nie dającym. Dopóki się tajemnice stworzenia nie zmieniają, dopóty kobieta przynosić ze sobą będzie na świat duchowe uzdolnienie inne niż mężczyzna. Jest-że to uzdolnienie wyższem czy niższem? Sądzę, że jest tylko odmiennem — i o wyższości płci jednej na drugą, o wyższości mianowicie schlebającej pysze mężczyzn, poważnie mówić nie można. Wyższość będzie zawsze tylko względna i wzglę-

dnem także upośledzenie. Co przeważa pod jednym względem na jedną stronę, to pod innym znowu przechylą się na drugą. Dajmy pokój sporom o wyższość; uznajmy odmienną wrodzonych sił, a raczej bezwiednego jeszcze ruchu duchowego w obu istotach, za wyraźny objaw woli Opatrzności, która chciała zapewnić w ten sposób człowieczeństwu przedmiotowemu w ludzkości — całe bogactwo rozwoju, jakie daje różnorodność do jednej harmonii dążąca. Pięknie o duchowej różnicy płci i tej harmonii mającej nad nią panować jako cel ostateczny, pisze Libelt w swojej „Estetyce”. Zestawienie duchowej formy kobiety i mężczyzny znaleźć jeszcze można w dziełach: Brodzińskiego, Hoffmannowej, Buckla, Milla. W najszlachetniejszym znaczeniu powiemy, że duch mężczyzny potrzebuje więcej rozszerzać się po świecie, więcej zdobywać i podbijać; dóbr, które ukochał, może nie mieć przy sobie; zdolniejszym jest do abstrakcji i w myśli i w uczuciu. Mniej patrzy w swoje serce, ale też i mniej czuwa nad niem, aby z torów prawości nie zeszło. Duch kobiety, spokojniejszy, ma skłonność do tego, aby zdobyte męskie przyswajając, obracać na pożytek dla nowych natur ludzkich przybywających na ziemię; z tego względu uważałbym duchowość kobiety za przeznaczoną do godności nauczycielki i matki. Kobieta ukochane dobra swoje musi mieć przy sobie blisko, aby pełni bytu swego nie rozrywać, a przywiązuje się więcej do istoty niż do idei. Jest w uczuciach swoich szerszą, wytrwalszą — w cierpieniach cierpliwszą. Powołanie rodzinne, dążność do ugruntowania rodziny, silniejsze w niej są niż w mężczyźnie, który rozszerzając się więcej na zewnątrz, więcej też powołany jest do życia ogólnospołecznego. Stąd rodzina na kobiecie się opiera, na mężczyźnie społeczność. To przyniosła historia jako zasadę ogólną, którą wyjątki, raczej wzmacniają niż osłabiają. — Tego pilnować się ma wychowanie.

Rozwój umysłowy, cała umysłowość w stosunku do wytwarzającej się w człowieku moralności — występuje jako współdziałacz, współdziałacz nieodstępny, którego żadna potęga woli rodzicielskiej nie odsunie na stronę, gdyby w nim niebezpieczeństwo dla dziecka swego dopatrzyła. Jedyna tu rada w tem, aby samego współdziałacza poprawić i uczynić zeń uczciwego w dobrej wierze działającego pomocnika. Rodzice nie powinni lekceważyć obowiązku nadzorowania tych dróg, na jakie wchodzą umysły ich dzieci w przyswajaniu sobie nauki — pod wpływem złych znajomości, złych książek. Moralność, a więc i szczęście dziecka od ich czujności zależy; nieszczęśliwymi prawdziwie są rodzice nieodolni, niedość sami rozwinięci umysłowo, aby na rozwój umysłowy dzieci swoich patrzeć mogli temi oczyma, co rozumieją i sądzą. — Ważny czynnik w wychowaniu moralnym stanowi wykształcenie estetyczne. Plato, który w dyalogach swoich porozrzucił hojną dłońią geniuszu mnóstwo najszczytniejszych myśli o moralności, uważa oglądę estetyczną człowieka za szkołę przygotowawczą do moralności, wychowaniem tem radzi rozwijać, umacniać i dla wewnętrzznego szczęścia kształtować uczucie bezinteresownej prawości i pożądania dobra dla dobra. W naszym społeczeństwie wychowanie estetyczne istnieje o tyle jedynie, o ile je powieści dać mogą. Kształcąc dzieci nie stawiamy ich na tej wysokości, aby sztukę pojmovać i piękno kochać mogły. Miłość piękna z istoty swej bezinteresowną, czystą, szlachetną być musi. Ucząc miłować piękno dla piękna, uczymy przez to miłować i dobro dla dobra.

Tak nam się przedstawiają najogólniejsze, naczelnne warunki potrzebne dla wychowywania ludzi na łonie rodzin i przez rodziny — do szczęścia, do trwałego dobra i spokoju.

Stowarzyszenie się do szczęścia w pomysłnym rozwoju będące jest społecznością ludzi dobrych; praca nad człowieczeństwem uzaenia je, ulepsza, szczęśliwym je czyni. Choćby z początku to lub owo złe występowało w duszach rodzicielskich, to sama tylko szczerza praca nad dziećmi przytępić je, wygładzić będzie musiała. Rodzice nie potrzebują myśleć o sobie, aby się doskonalić: niech tylko nad dziećmi pracują. Ta najszlachetniejsza produkcja na ziemi, jaką jest wychowywanie dusz ludzkich — ma to do siebie, że sił nie wyczerpuje, lecz ich przeciwnie jeszcze przysparza. Nad niwą, na którą pług uprawy rodzicielskiej wstąpił, unosi się błogostawień-

stwo Boże. Prawda, że praca jest mozolną, ciężką — istnieje w pocie czoła spełniać ją trzeba, jeśli się chce raz podjętą do należytego doprowadzić kresu; prawda, że najtwardszą opoką bywa niekiedy natura ludzka, to znowu jak gaz lotny, nieujęta, rozprężliwa, opanować się i ukształcić nie daje; prawda, że dzieci nie odpłaca nam nigdy trudów i boleści, jakieśmy dla nich podjęli: z tem wszystkim jednak niema pracy wdzięczniejszej, większej przynoszącej szczęście, nad pracę rodzicielską. A jeśli Opatrzność usiłowania uwieńczy i przy doskonalących się rodzicach wydoskonala się — oczywiście względnie, bo na ziemi idealów niema — i dzieci, jeśli rodzina stanie się społeczeństwem istot dobrych, mocą wewnętrzną człowieczeństwa żyjących, jeśli tę rodzinę dostatecznie już nawiedziły nieszczęścia, aby ją za moralnie wypróbowaną uważać można, jeśli w rodzinie tej jest i zdrowie i dostatek — kto by takiej rodziny stowarzyszeniem się do szczęścia nie nazwał, kto by jej nie uznał istotnie szczęśliwą? Oprócz szczęścia indywidualnego, występującego w tyłu osobnikach, ilu ich liczy rodzina, będzie jeszcze jedno wspólne dla wszystkich — niewidzialne, nieujęte, a niemniej jednak rzeczywiste — *szczęście rodzinne*, streszczające w sobie całą sumę pracy, poświęceń, męczeń, zawistnych kolei losu, wspólnie przeżytych i całą sumę tych niezliczonych radości i uciech, jakie daje przeszłość i terażniejszość życia rodzinnego.

Miłość, miłość cudotwórcza spaja wszystkie ogniewa łańcucha rodzinnego — w tem idealnym społecznieniu, jakie tu mamy przed sobą — miłość nie ślepa, ale na wzajemnym poszanowaniu człowieczeństwa, w różnoimiennych przejawiającego się formach, oparta. Rodzice potrzebują równie dzieci swoje szanować, aby je prawdziwie po ludzku kochać mogli — jak dzieci obowiązane są zachowywać dla rodziców cześć do późnego wieku. Z tej czci ani wyrośnięcie na istoty samoistnie żyjące w społeczeństwie, ani wyższość umysłowa i społeczna, ani zmiany w stosunkach osobistych przez małżeństwo i założenie własnej rodziny nie ująć niezdolają. „Żona opuści ojca i matkę, a pójdzie za mężem swoim”, nie jest przykazaniem, jest tylko stwierdzeniem wydarzającego się ustawicznie faktu. Dobro rodziny nowej nie wymaga bynajmniej zaniedbywania rodziny dawnej — bo ta rodzina w niezem działalności, jakiej tamta potrzebuje, dla siebie samej nie zagarnia. Nic się w duszach ludzkich zmieniać nie powinno przez małżeństwo, przez urządzenie się na swoim chlebie. Dziecko jest dzieckiem, choćby je siwizna już pokrywała, w starości jeszcze, sami rodzicami będąc, czujemy świętą węzła, w którym górujące stanowisko należy się nie nam, ale tym, co nam życie dali. Uczucie to jest bezwzględne, nie liczy się z niezem, na nie się nie ogląda, z niezem w układy nie wchodzi — jest bo jest. Kiedy już władza rodzicielska czynna, kształcąca ustanie, ostatnim jej stopniem, ostatnim jej zeznaniem na ziemi jest nakaz czci i idące za nim uczucie w sercach dzieci. Jeżeli tylko ta władza rzeczywistą była, jeśli dziecko jej zawdzięcza uczłowieczenie się swoje — nigdy też rodzice zawodu nie doznają. Pełną zapłatę za wychowanie znajdują we własnym tylko sercu, ale to, do czego mają prawo na zewnątrz, nieuchronnie otrzymują od dzieci dobrze wychowanych. Władza rodzicielska nie jest używaniem ale trudem, przez trud rzeczywisty warunkuje się i utwierdza. Niema dziś silnie ugruntowanej władzy rodzicielskiej, bo niema silnego, rzeczywistego trudu rodzicielskiego. Każdy zbiera to, co zasiał: za dobrem idzie dobro, za miłością miłość, za szczęściem daniem dzieciom na trwałą nieoddzielną własność duszy — szczęście rodziców w starości. O wyjątkach wyrodnych nie mówimy: po obu stronach duch ludzki z pod praw swoich wyradzać się może. Węzły rodzinne, zespolone przez miłość i zasługę, urągają śmierci: w nowej, właściwej sobie formie trwają wiele lat po skonie zyciodawców. Są szczęśliwe rodziny, w których ta pamięć wewnętrzna trwa wieki całe. Cześć dla zmarłych, jedna z najdawniejszych w ludzkości — niegdyś bardzo silna — dziś znacznie osłabła, jeszcze jednak trwa i trwać będzie; dowodzimy jej choćby tylko nabożeństwami żałoźnemi. Jeżeli ta cześć dla osób występuje jako cześć dla czynów, jeżeli jako taka wystąpić może — staje się wtedy rodzajem religii i ważny stanowi czynnik w wychowaniu dzieci. — Pokolenia następne nie dziedziczą po poprzednich wszystkiego, coby dziedziczyć mogły:

prawo samo zapewnia imię, tytuł i majątek, bierze się więc imię, tytuł i majątek, najskwapliwiej ten ostatni — resztę porzuca jako ciężar zbyteczny. A jednak ileżby to korzyści dla wychowania moralnego spłynęło z żywej tradycji rodzinnej, w której przebyte koleje życia występowałyby musiały z mocą najgorętszego przykładu, z wymową najgenialniejszej nauki!

Lecz oto rodzina wychowała już dziecko w prawdziwej pracy i miłości. Rozwinęła w niem uczucie, wyrobiła charakter prawy; zaopatrzyła je w duchowe zasoby, a przy sprzyjających okolicznościach pomyślała i o materialnych; dała mu zdrowe ciało, bez którego utrzymanie zdrowego ducha jest trudnem — przygotowała dziecko swoje do życia szczęśliwego; wszystko jest co potrzeba: — dla kogoż to wszystko spożytkowanem będzie? Czy rodzina egoistycznie wychowawszy dziecko dla siebie, jak najdłużej zatrzymać je przy sobie będzie chciała i nikomu innemu nie da korzystać z wypracowanego, z wykutego mozolnie człowieczeństwa? Na toż ukrzepiała wolę, obudzała uczucia, zapalała myśli, aby z nich ciągnąć pożytek wyłączny dla siebie samej? A może kształcąc dziecko do szczęścia, choćby nawet tak pojętego jak je tutaj zarysować usiłowano, kształcimy to dziecko mimowoli w egoizmie rodzinnem, czynimy je niezdolnym do działania poza rodziną? Może takie kształcenie nie wystarcza i potrzebuje uzupełnienia przez inną zasadę edukacyjną żywą, do żywego czynu powołaną? Nie sądzę. Rozwój człowieczeństwa na najobszerniejszych podstawach, jakie tu wskazano, chroni od egoizmu, a nawet wprost go wyłącza. Nie można pojąć wychowania duszy spokojnej, samodzielnej, kochającej jak najwięcej i jak najpodnioślej — bez wychowania jej jednoczesnego dla niej samej, dla rodziny i dla społeczeństwa. Rodzina może się odgraniczać od ogółu, do którego należy, nie odgraniczy się nigdy tak, aby ostatecznie wszystko to złe lub dobre, jakie w sobie wyrobi, nie obróciło się na szkodę lub na pożytek społeczeństwa, nie weszło w jego organizm, nie odbiło się choć w drobnej części na pomysłowości ogólnej. Stąd społeczeństwo ma obowiązek wymagać od rodzin należytego wychowywania dzieci i jeżeli się cokolwiek mówi w tym względzie, mówi się w interesie społecznym. Szczęście jednostek małoby nas obchodziło, nawet szczęście płynące z moralności, gdyby z niego nie składało się szczęście ogólne, gdyby przez umoralnienie jednostki nie umoralniało się i zbiorowisko ludzkie. — Na to hartujemy człowieka, aby przezeń ułartować społeczeństwo; na to go chronimy od materializmu i wszelkich innych szkodliwych wpływów, aby ochronić od nich samo społeczeństwo, o ile jeszcze w całości swej dotknięte nie jest; na to rodzinę jako szkołę moralności ustanawiamy, na to skupiamy w jej rękach najobszerniejszą władzę i posłannictwo, aby doczekać się od niej owoców pożywnych dla społeczeństwa. Rodzina wychowująca dobrze swe dzieci nie potrzebuje takiego przypomnienia; myśl społeczna tkwi w jej pracy edukacyjnej, przejmując ją i nierozdzielnie w skutkach się przejawia. Prawda, praca i miłość otwierają dziecku bramy życia społecznego. Musi ono mieć specjalne swoje stanowisko w świecie, musi mieć wyznaczone, odgraniczone i zajęte dla siebie miejsce przy wielkim warsztacie społecznym, musi pracować widomie, dotykalnie, tak, aby pracę jego i na czas i na ilość obliczyć było można. Ale takie stanowisko nie wyczerpuje człowieka, nie wciąga w siebie posłannictwa ludzkiego. Nie na to żyjemy, abyśmy byli kupcami, rzemieślnikami, literatami — lecz na to, abyśmy będąc tem wszystkiem, byli zarazem i ludźmi. Pierwszem stanowiskiem, pierwszą karierą naszą, pierwszym urzędem jest człowieczeństwo, w stosunku do danego społeczeństwa przedstawiające się jako obywatelstwo. Takie też człowieczeństwo rozwinęła rodzina stowarzyszona do szczęścia — gdy dzieci swoje nauczyła kochać ludzkość w najrozmaitszych zakresach życia. Działanie charakterów mniej rozgłoszone, mniej sławne, mniej świetne i w regestrze pamięci ludzkiej nie wciągane, w morzu zjawisk ginące często bez wieści, większe ma znaczenie dla ludzkości niż działanie talentów, które nieśmiertelnością spromieniamy, którym wznosimy pomniki. Niejeden poeta, malarz, filozof, historyk, zaszkodził ludziom tem co wytworzył, wielu nie wywarło żadnego wpływu: człowiek prawy samą prawością swoją przysłużył się społeczeństwu. Praca cicha jest pra-

cą najpożyteczniejszą. W tej pracy niezmiernie wielki udział ma kobieta, jako pani ogniska domowego, matka przyszłych istot społecznych, wychowawczyni natur ludzkich, które pod prawo moralne, a następnie i społeczne ma poddać.

Każda myśl zmierzająca do uwydatnienia celu rodziny, wzmocnienia pracy i władzy rodzicielskiej, w czasach, w których życie rodzinne tak widocznie słabnie, przynieść musi ten przynajmniej pożytek, że udzielając się innym obudzi czujność na podstawowy interes społeczeństwa. Upojeni cywilizacją materialną, która tyle cudów w oczach naszych dokazuje, oddani działalności zewnętrznej w wytwarzaniu różnych całości kształtów życia, jakich wieki dawne nie znały, niecierpliwi w zapewnieniu praktycznymi urządzeniami pustki, jaka zalegała dotąd między myślą filozoficzną, wspinającą się do ideałów, a cierpiącą ciemną masą ludzkości, mniej przywiązujemy dziś wagi do wartości człowieka, niż do jego pracy, mającej ducha, że tak powiem, przedmiotowości, aby w miejsce *człowieka* postawić *instytucję*. Życie nasze coraz bardziej staje się mechanicznem, przepoławia się, traci przyrodzoną syntezę swoją. Ci sami ludzie, którzy w instytucjach filantropijnych mają być przedstawicielami miłości bliźniego, w życiu osobistem mogą być największymi egoistami i poświęcać bliźnich dla siebie. Żadnej im to ujmę nie przynosi; w urządzeniu społecznem działalność ich uważa się za dodatnią. Walka o byt, którą pozytywiści z taką szczerością propagują, której idealisci z takim uporem w około siebie widzieć nie chcą — szerzy się wraz z egoizmem, wzmagającemi się ciągle potrzebami, zbytkiem i nadmiernem zdobywaniem bogactw. Wszystko to odwodzi nas od zadań duchowych. Otożeni instytucjami i pracami mechanicznymi — zapominamy o instytucji i pracy organicznej, najpierwszej w ludzkości: o rodzinie i pracy rodzinnej. Pierwsze istotne dobro społeczne było dobrem rodzinnem; rodzina je wyrobiła w sobie i udzieliła na zewnątrz: społeczność jako pewien porządek moralny z rodziny wyszła. Chcąc podnieść i wzmocnić społeczeństwo, należy podnieść wprzód i wzmocnić rodzinę. Na egoizm indywidualny toczący społeczeństwo, poradzi jedna tylko miłość zaszczerpiana w życiu rodzinnem. — Rodzina stanąć musi wysoko ponad tym wirem ludzkim, w którym się egoizmy przescigają do mety materialnego szczęścia; służyć musi własnemu ideałowi i mieć w sobie jasne jego zeznanie. Niema stanowiska pośredniego: albo przeciwstawiając się ciemnej masie ludzi, wychowywać będziemy dzieci swoje do tej wewnętrznej szczęśliwości, w której złożone są ziarna szczęścia społecznego; albo też skazemy je na nicość, a nawet ujemność bytu duchowego — by się niczem nie wzbijały nad swe otoczenie i nie potrzebowały walczyć o prawdę, poprzestając na walce o byt.

S. K.

NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Tradycja rodzinna. — Jaraczewska. — „Julia i Adolf“ Ludwika Kropińskiego. — „Nieroządne śluby“ F. Bernatowicza. — „Edmund“ Stefana Witwickiego. — Fryderyk hr. Skarbek. — Klementyna Tańska. — Jej ojciec Ignacy Tański. — Wychowanie w Izdebnie u starościny Wyszogrodzkiej.

W życiu naszych niewiast, w okresie od 1800 do 1830 roku, niepoślednią grała rolę tradycja rodzinna. Ona to przechowywała zdarzenia rodzinne, dramata nie raz straszne i bolesne, w cichości odegrywane, które służyły to za naukę dla młodych dziewcząt, to za ośnowę do nowej gałęzi literatury powieściowej, która bujnie rozkwitać zaczęła, pięknie nie tylko kwiaty, ale i owoce dla społeczności naszej wydając.

Jeżeli podaliśmy kilka opowieści z rodzinnych zdarzeń, to nie bez celu, bo snujące się w nich postacie, ich charakter i wypadki, są powtarzane właśnie w tych utworach powieściowych, które za treść wzięły rzeczywistość i odzwierciedlanie tak osób jak i ich uczuć w prawdziwym świetle.

Pierwszym z autorów, który wystąpił na tem polu, z wyższą myślą, bo podaniem społeczności zdrowych rad i szlachetnego kierunku tak w wychowaniu, jak i w życiu, jest Jaraczewska. Jeżeli autorka *Malwiny* dała pierwszą powieść polską i ona okres tej gałęzi literatury rozpoczyna, to Jaraczewska podniosła jej znaczenie i pokazała czem powieść być powinna, ażeby z pod pióra płynął zdrowy i pożywny pokarm duchowy. W utworach jej niemasz nieprawdopodobieństwa jak w *Malwinie*, niemasz scen naciąganych; wszystko rozwija się po prostu, jak w życiu codziennem, a jednakże całość układa się wybornie w formę artystyczną.

Z utworów Jaraczewskiej największą w rozmiarach jest powieść: *Pierwsza młodość — pierwsze uczucia*, którą sama autorka uważała za najlepszą, jaka wyszła z pod jej pióra. Nie możemy wszelako przyjąć bezwzględnie tego jej zdania, lubo co do wielu ustępów autorka ma słuszość. Nie podajemy treści tego utworu, gdyż dla wielości osób i zdarzeń przekroczyłoby to zakres naszej pracy, powiemy więc tylko o właściwym stanowisku tej pisarki, jakie zajmuje w literaturze naszej.

Autorka *Malwiny* w powieści swej maluje nam swoją społeczność i to wyłącznie klasy wyższej, w której zrodzona, z lekka dotykając tylko postacie warstw niższych, o ile je poznać mogła, gdy wybiegłszy z pałacowych komnat, zbliżyła się do nich. Jaraczewska te ostatnie zna właśnie lepiej, studiowała je starannie, ztąd też wierniejsze, dokładniejsze w szczegółach jest jej malowidło. Rzecz godna uwagi, że autorka nasza, wychowana w atmosferze *klasycznej* poezji, gdy takowa dla niej dostateczną była i jest przedmiotem jej uwielbienia, sama już mimowiednie przestąpiwszy jej granice ściśle określone uświęconymi przepisami, w powieściach swoich weszła na drogę *romantyczności*, pod którą rozumiano utwory oryginalne, samodzielne. A za prawdę Jaraczewska jest oryginalną powieściopisarką, zwolenniczką prawdy tak pożądanej, zarówno w postaciach jak i w charakterach, które wprowadza na scenę. Osoby u niej działające, są to żyjące istoty naszego plemienia, myślą, działają i postępują jak każdy w powszednim życiu; czują po naszymu. Żył autorka i pierwsze wrażenia odbierała w młodych latach, w czasie, gdy społeczność nasza przeobrażała się wybitnie. Od dzieciństwa znała i patrzyła na żywe postacie gasnącego jej pokolenia, które tak obliczem, jak strojem, obyczajem, mową, obejściem i przekonaniem, różniło się o całą przepaść od potomków swoich. Tę właśnie różnicę mamy skryształowaną w bogatej galerii Jaraczewskiej, wiernie, z całą prawdą i prostotą.

Jakaż to wielka różnica od współczesnych figur, które rówieśni pisarze w powieściach swoich stawiali!

Ludwik Kropiński w *Julii i Adolfie*; Feliks Bernatowicz w *Nieroządnych ślubach*, nawet wyższy od nich talentem Stefan Witwicki w *Edmundzie*, jakichże to nam bohaterów i bohaterki dawali!

Kropiński pisze swój roman dla pokazania, że nasz język zdolny do wydania najdelikatniejszych uczuć miłości i jej cieniowania. W rękopiśmie wiele go lat przechowuje, wygładza, styl szlifuje i wreszcie okazałe z rycinami drukuje w Warszawie w roku 1824 w dwóch tomach. Nie tai w przedmowie, że pragnął współzawodniczyć z *Nową Heloizą* Russa.

Powieść miała wielkie powodzenie w swoim czasie i rozgłos ogromny; wykupiono wszystkie egzemplarze, unoszono się nad nią: strumienie łez wyciskała, bo trafiła na społeczność, w której szczególnie kobiety rozczulone były i spragnione takich egzaltowanych utworów, zasmakowawszy się w romansach francuzkich podobnej treści i bezsensu.

Julia i Adolf są to postacie tak przesadzone, w życiu i działaniach tak szlamazarnie, że przedstawiają typy niedołągów, przy chorobliwym usposobieniu. Żadna z nich w niczem niepodobna do żyjących istot w naszym świecie. Bernatowicz w *Nieroządnych ślubach*, na fałszywym tle historycznym osnuł roman; nie ustrzegł się błędów Kropińskie-

go, lubo niedługo wytrzeźwiał w tej sztucznej egzaltacji, pisząc *Pojatę* i następne powieści.

Stefan Witwicki, poeta rzeczywistego talentu, w *Edmundzie* pozbawionym wszelkiego zajęcia, dał nam tylko utwór chorobliwej fantazy; nawet i w tej dobie, kiedy z *Bajronizmem* tkliwość *Werterowska* przyjmowała się tak łatwo i rozpowszechniona przedkładem rozgłośnego romansu *Goethego*¹⁾ była w modzie, nie znalazła powieść zwolenników.

Edmund nie doczekał się powodzenia *Julii i Adolfa*, spokojnie zalegał półki księgarskie, bo już zaczęła przemijać ta epidemia duchowa. W jakimże jasnym świetle obok innych występuje *Jaraczewska*, ze zdrową i rozumną myślą, z wyraźnym celem: chce mieć powieść polską i daje jej precyzyjne, jak na owe czasy, wzory. Nigdzie nie widać w niej tej chorobliwej fantazy, jaka cechuje romanse powyżej wzmiankowane, męskiego pióra. Szczęśliwe natchnienie wiedzie jej ręką, a tradycja rodzinna, z różnych wiejskich dworów nadlatuje, jak ta biała przedza *Babiego-lata*, czepia się jej bezustannie, i autorka snuje, rozwija z niej motki, do tkaniny swych utworów. Obdarzona bystrym, spostrzegawczym umysłem, chętnie badała nasuwające się jej postaci, studiując charaktery, jakie spotykała; ztąd taka prawda, taka rzeczywistość w osobach, które wprowadza na scenę. Nikt też lepszej na owe czasy obyczajowej powieści nie napisał, wierniej nie odmalował swej społeczności, i tylko jeden *Fryderyk hr. Skarbek* stanąć może obok niej w *Panu Staroście* i *Dodosińskim*, bo równej wartości powieści jego, jak *Pamiętniki Seglasy* i *Ólim* do późniejszych należą utworów po 1830 rok.

Romanse *Kropińskiego*, *Bernatowicza* i *Witwickiego* ukazywały się w ozdobnych wydaniach; *Jaraczewska* na prostej bibule i nie nowym drukiem; pomimo to, przeżyły tamte, a żaden badacz historii literatury polskiej, nie może pominąć jej powieści, gdyż ona musi rozpoczynać szereg utalentowanych obyczajowych powieściopisarzy, którzy myśl społeczną przeprowadzali w swoich utworach.

Nie robi to żadnej ujemy dostojnej autorce *Malwiny*, która zawsze znajdzie piękne wspomnienie jako ta, co dała nam pierwszą powieść.

Wszystkie w tym rodzaju prace *Jaraczewskiej* wyszły pierwszy raz pod jej imieniem w Lipsku 1845 r., wraz z wizerunkiem autorki i obszernym jej życiorysem, skreślonym przez wymowne pióro *Ludwika Ossolińskiego*.

* * *

O sześć lat później przyszła na świat *Klementyna Tańska*, urodzona d. 23 listopada 1798 roku. Ojciec pełen zasług obywatelskich *Ignacy Tański*, znanym jest i w literaturze. Kiedy zgasł w młodym wieku (1805 r.) bo liczył dopiero 44 rok życia, wielbiciele jego cnót i zacności, zebrali pozostałe pisma i wydali jako dzieło pogrobowe p. n.: *Ignacego Tańskiego wiersze i pisma różne*, Warszawa, 1808 r. w drukarni Ks. Pijarów, w 8-ce.

Dzieło to ma format *Wyborów pisarzy polskich* *Tadeusza Mostowskiego*, z popiersiem na czele zgasłego pisarza i stanowi ostatni tom tego pięknego wydawnictwa.

Matką *Klementyny* była *Maryanna z Czemińskich*, córka słynnego w swoim czasie lekarza.

Rodzice *Klementyny* skutkiem smutnych ówczesnych wypadków nagle zubożeli i zmuszeni byli wynieść się z Warszawy (gdzie się nasza autorka urodziła) do małej wioseczki *Wyczulki*, położonej o sześć mil od tego miasta, którą wypuścił im dawny przyjaciel *Tańskiego*, *Jan Łuszczewski*, późniejszy minister z okresu księstwa *Warszawskiego*, a dziad *Deotymy*.

W czwartym roku życia mała *Klementyna* opuścić musiała to miłe wiejskie ustronie, a wraz z niem i rozkoszne zabawy z rodzeństwem pod okiem dobrej i tkliwej matki. Wyjechali więc *Tańscy* do *Puławy*, zabrawszy z sobą najstarszą córkę, małą zaś *Klementynę* zostawili w *Izdebnie*, w domu *Anieli z Świdzińskich Szymanowskiej*, wdowy po

staroście *wyszogrodzkim*, pod opieką jej córki *panny Doroty Szymanowskiej*, która zajęła się nią po macierzyńsku.

Dobrze pisze *Seweryna z Żochowskich Prusakowa*, że dom *pani starościny wyszogrodzkiej*, jak tyle innych pańskich i możniejszej szlachty tego wieku, stał jakby na rozstajnej drodze. W połowie jego trzymał się jeszcze stary, prosty, poczciwy zwyczaj, a w drugiej połowie, szerokie wrota otwarte były obczyźnie, i cudzoziemka wypierała silnie prawą dziedziczkę. Sama starościna zawsze jeszcze prawie mówiła po polsku, lecz córki jej, które uczyły się czterech obcych języków, mówiły, pisały a nawet modliły się po francuzku i nigdy nie czytywały polskich książek. Tym więc trybem prowadzoną była i mała *Klementyna*, którą za trzecią uważano córkę.

To też (jak sama pisze w swoim *Pamiętniku*) przez dziesięć lat spędzonych w *Izdebnie*, miała za ledwie dwie lub trzy książki polskie i to poważnej treści, których mało co rozumiała; za to pp. *de Beaumont* i *Berquin* umiała prawie na pamięć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Macienczyn, dwór *pana Korczaka*, o parę mil od *Sandomierza*, znany był w koło na mil wiele, jako miejsce, które ludzie w największej nawet potrzebie schronienia omijać musieli. Nigdy tam nikt zagnony przypadkiem w podróży do wrót nie zapukał. Wśród starych drzew, których gałęzie z kory były poodzierane, opasana płotami połamanami, stała przy kupie gruzów, na starym pogorzeliśku, porośnięta chwastami, murowanka, która znać z niedogorzałego dworu dawnego pozostała. Dziwnie to wyglądała okopcała, brudna, słomą pokryta, bokiem do dziedzińca, z oknami na pół w błonach, pół z drzewa. Przez zarosły dziedzińczyk wiła się ścieżynka kręta, wiodąca do drzwi zamkniętych. Obok stała prosta chałupa zastępująca folwark, szopka, która musiała być stajnią i kilka klatek, a w tych domyślać się godziło chlewnów i obór.

Wieś nie opodała rozłożona nad rzeczułką, daleko zamożniej wyglądała od dworu. Położenie było wesołe i piękne. Na wzgórzu murowany kościółek i plebania panowały okolicy.

W dzień zimowy, furka dosyć nędzna stanęła u wrót dworu, których otworzyć nie było komu. — Dwa brzydkie psy, z sierścią najeżoną, wyskoczyły ujadając ku bramie; postać jakaś w kożusku brudnym ukazała się na progu murowanki i znikła. Mężczyzna młody wysiadł z sanek i począł furtki szukać dla wnijścia, ale tej nie było i wrota trzeba było zasypane śniegiem odsunąć nieco, aby się dostać w podwórze.

Widząc, że przybyły tak stanowczo się dobija, wyszedł chłopak odarty z chałupy.

— Jest pan *Korczak* w domu? — zapytał gość.

Chłopak patrzył i milczał, nie śmiał odpowiadać. Po chwili zapytał sam:

— A wasza miłość kto?

— Pytam cię o pana?

— Albo ja wiem.

Postać w kożusku pokazała się w progu, chłopiec na nią rękę zwrócił.

Przybyły broniąc się jak mógł psom, zbliżył się do murowanki. Po kilkaroć stojący tam w kożusznym, to chował się, to pokazywał...

— Pana niema w domu! niema w domu! — rzekł wkońcu zdala.

Przybyły rozśmiał się smutnie:

— Ale panie *Korczak*, sam-że nim jesteś.

Kożuszek się schował i znowu wyszedł. Rękę do oczów przyłożył.

— Nie mam honoru znać?

— Jaktó! w *Krakowie*śmy się spotkali! Przypomnij pan sobie! *Korczak Janasz*.

— E? nie przypominam.

— U *Zbylutowskich* w gospodzie. *Korczak stary* począł głową kiwać.

— Gdzie? kiedy to było? W *Krakowie*?

— Ale—niedawno.... Kazałeś mi pan pisać do *Macienczyna*, wołałem przybyć sam.

— Kto taki? kto?

— *Korczak*.

— Jaki *Korczak!* *Korczaków* teraz jak grzybów narosło! Hę? gdzie stąpisz, *Korczak*—a mnie co do tego! mnie co do tego!

— Aleś mi pan kazał przybyć?

— Ja? śniło się? hm! ja?

— Przypomnij pan sobie.

Zamyślił się stary i ustami zaczął robić jakby co przeżuwał:

— A-po? a no? Nie chciałeś waszmość mnie, kiedy ja go prosił. Przyszła koza do woza: ja waszmości teraz nie potrzebuję. Widzisz sam jaka tu nędza—hę? co?

Janasz popatrzał nań, skłonił się i już chciał odchodzić.

Stary za nim oczyma powlókł i zawołał:

— Stój waszmość—czekaj. U mnie w izbie nie palono, ale na kominek trzasek przyniosą, chodź się ogrzej — z drogi, chodź.

Janasz się zawrócił. Przez bardzo brudną sionkę wszedł do izby, której okna były tak pozamazané i brudne, że w niej o białym dniu mrok panował. Tu stał stół prosty, nakryty wyszarzanym kilimkiem w pasy, poodzieranym po końcach, kilka stołków i szafa pomalowane niegdyś niebiesko. Komin wystygły pełen był popiołu i śmiecia, w rogu izby leżała kupa rzepy, pokrytej słomą, a woń od niej rozchodziła się szeroko.

— Siadaj, gołąbku, siadaj—rzekł *Korczak*—zawsze tu zaciszniej niż na podwórzu. Ja ciepła nie mogę znieść, odwykłem, choruję od niego, a zdaleka, kochanie?

— Z *Podlasia*.

— Kawał drogi—a dokąd?

— Sądziłem, że do *Macienczyna*.

Westchnął stary.

— A co by ty tu robił?—kochanie! ty widzę słabowity, delikatny, do ciepła przywykły, do gorącej strawy, do przysmaków, do mięsa, a u mnie tu bieda. Ja żyję chlebem i wodą, szczególniej teraz w post.

Nie było co mówić ze starym, który oczyma świdrował przybyłego.

— O no to prawda, że mnieby się do papierów pomoc zdała—ale u mnie praca i życie ciężkie.... Inaczej zbawionym być trudno, gołąbeczku mój, człowiek się psuje, mięknie.

Janasz nie mówił nic.

Stróżka, istny obraz nędzy i brudu, niosąc w fartuchu trzaski, weszła hałaśliwie i spytała: gdzie zapalić?

Stary się zawahał nieco.

— A no tu!

Przysiadła więc przy kominie usiłując ognia naniecić. Był to znać zwyczaj przy gościach. *Trzaski* dużo dymu wydały, dym z zimnego kominu rzucił się na izbę i wkrótce ciemniej w niej było jeszcze niż wprzód, a dotego i duszno.

— To nie, kochanie, to przedzie—zdrowo. Chłopi zawsze w dymie się wędzą, dlatego tacy krzepy. Rozmowa w czasie pobytu stróżki zupełnie się przewalała. Dopiero, gdy ogień błysnął i kobieta *trzaskając* drzwiami wyszła, *Korczak* westchnawszy począł znowu:

— Cóż ty, kochaneczku, myślisz teraz z sobą?

— Nie wiem—rzekł *Janasz*—dostanę się do *Krakowa*, do króla, a tam co.... Bóg da.

— E! do króla! do króla! zapewne! mówił stary, juści mu żołnierzy potrzeba, ale to tam głową nałożyć można jak nic, a szkodaby twej młodości, kochanie. Już to ja, prawdę powiedziawszy, gdy mam mieć kogo do pomocy, głowę trochę straciłem. Gdzie mnie o tem myśleć! Z czego tu wziąć? pieniacze, pieniacze mnie jak kość do żywego ogryzli.— *Gołizna!*

¹⁾ *Kazimierz Brodziński* na żądanie jednego z najpierwszych w owe czasy księgarzy nakładców *Natana Glücksberga*, przetłumaczył ten utwór p. n. „*Cierpienia młodego Wertera*“ z niemieckiego p. *Goethe*, Warszawa, 1822. Dwa małe tomiki.

Milczeli—Janasz patrzył w komin, okrył się opończą, bo w izbie było zimno, w rodzaju obojętnego osłupienia siedział, a stary mu się przypatrywał.

— Jegomości piesz? Kochanie moje?

Janasz się uśmiechnął.

— I po łacinie nawet, expedite — byłem ci u ks. jezuitów w Lublinie.

— A prawa cokolwiek znasz?

— Tyle tylko, co się gdzieś posłuchało o niem z przypadku.

— Ale nie święci garnki lepią — rzekł stary — ja nie umiałem nic a nie, a no, teraz konstytucję na pamięć, statut i korekturę pruską. Byle ochota, kochanie.

— Nie mam jej — rzekł przybyły krótko.

Korczak ustami począł coś zwać znowu długo.

— Wiesz co, ja waszmości powiem, mój gołąbku, bo mi ciebie żal, żeby cię Turcy gdzie zabić mieli, bo ty taki prawdziwy jesteś Korczak. Posiedź tu u mnie sobie, tak dla wypoczynku, czasem dla zabawy co przepisziesz, czasem się przejedziesz. Jeść, no jeść, krupnik się znajdzie, jeśli już koniecznie trzeba; chleb razowy, bo to najzdrowszy, a wodę mam w studni, jakiej nigdzie na świecie niema. Odpić się nie można. Zobaczysz, ona cię odżywi. Trunki wszystkie dyabła warte... to boży trunek.

Janasz zamyślony nie odpowiadał nic.

— Izba jedna stoi próżna, ja ci ją pokażę, chodź, to tu przezedrwił! Ruszył się starowina opasując kożuszek.

Weszli do ciemnej sionki: z niej drzwi nie zamknięte prowadziły do izdebki tak brudnej jak pierwsza o jednym oknie. Tarczan w niej stał nagi, stółek jeden i skorupa pusta; zamiast podłogi cegły leżały potłuczone na ziemi. W kącie piec bez drzwi, czek, lepiący, wiał chłodem.

Straszne to było i przypomniało mimowolnie Janaszowi tureckie jego więzienie. W niem on nawykł do wszystkich niewygód. Teraz było mu obojętnem, gdzie się podzieje, byle znaleźć przytułek. Króla prosić nie bardzo sobie życzył, odpadła ochota i od rycerki — cały świat stał się obojętnym; pragnął spokoju, ciszy, choćby klasztoru. Żyć, aby żyć, mógł tak dobrze tu jak gdzieindziej.

Cicho więc odpowiedział Korczakowi, że się zgadza pozostać. Staremu oczy zabłyśły:

— Ja ci, kochanezku, nie obiecuję nic, pamiętaj to sobie dobrze, no — dach nad głową, dobre serce; nędzą się dzieje, ja sam biedny — widzisz.

Janasz mu odpowiedział, że nie nie żąda.

Tak tedy stanęła jakaś umowa i swój tłumoczek kazał Janasz przenieść do izby, postanowiwszy sam już ją sobie wyporządzić. Co dalej miał począć, dobrze nie wiedział.

Rozglądał się właśnie po tem nowem schronieniu, gdy Kożuszek powrócił.

— Ale oto, gołąbeczku — odezwał się, o jednej bardzo ważnej rzeczy zapomniałem. Pobożny jestem i Pana Boga chwale. I ty kochanie do kościoła, żebyś sobie poszedł się pomodlić, a! i owszem, ale — na plebanie, to warał! Kto u mnie mieszka, ten do proboszcza nie gada! To mój wróg, klecha obrzydły! U ołtarza szanuję, ale więcej z nim stosunku żadnego. To sobie waruję: na plebanie żebyś nie chodził.

Janasz zdziwił się niezmiernie.

— Czyżbyś mi pan miał bronić znajomości zrobić? zapytał Janasz — a toczy była niewola gorzej tatarskiej.

Skwarka złożył ręce.

— Kochanie gołąbku! nie bronię, tylko przestrzegam — klecha, obrzydły jest, powiadam ci, klecha, sknera, skapieć, dusigrosz. Ja się go boję, ja cię przestrzegam. Chytry, niebezpieczny.

Nie śmiejąc znać puszczać się w dalsze wywody, Korczak natychmiast się wysunął. Objęcie nowego mieszkania wiele pracy kosztowało Janasza, lecz było to razem zajęcie i rozrywka, której potrzebował.

Stary zdaleka przyglądał się z pewną nietajoną radością, jak sobie sam nosił wszystko, uprzątał gość miły. Z pozostałego grosza dokupił nawet, co było potrzeba, ażeby tę pustkę uczynić mieszkalną. Korczak udawał, że tego nie rozumie. W miarę jak izba stawała się schludniejszą, przychodził ją oglądać i cieszyć się tem. Piec stanął nareszcie, a trzasek do niego i suszy Janasz sobie przysposobił sam, z pomocą najętego ze wsi parobka.

Korzystał z tego Korczak: poćichu i wieczorem, temi drewnkami sam potajemnie u siebie palił.

Trzeciego dnia wszedł zrana, przejrzy jak zawsze, utyskując nad tem, że teraz, gdy już do roboty nie ma, Janasz się nudzić może.

— Ja mam tu papierek, możebyś sobie dla zabawki przepisał — rzekł — dokumentik wielce zajmujący w sprawie granicznej.

Janasz wziął się do przepisywania. Charakter podobał się staremu.

— O! jak to to pisze! — zawołał — palestrancka ręka, wyraźnie, czysto i ślicznie.

Znalazły się zaraz i inne dokumentiki nader interesujące do kopiowania. Jeść nie było wiele, ale Korczak sobie pomagał tem, że przechadzając się, do karczmy wstępował, gdzie parę jaj a czasem ryby gotowanej mógł dostać. Na utrzymanie życia to starczyło.

W jednej z tej popołudniowych przechadzek, przez wieś idąc, Janasz spotkał duchownego — mężczyznę słusznego wzrostu z laską w ręku, który mu się pilnie przypatrywać zaczął. Szlachetne rysy twarzy, energii pełne, oczy bystre, ruchy żołnierskie prawie, zastanawiały w przechodzącym. Łatwo się w nim było domyśleć owego osławionego klechy, przeciw któremu ostrzegał Skwarka gościa swego. Obudzało to ciekawość raczej niż odstręczało. Janasz ukłonił się zdala, ksiądz mu ukłon oddał i zbliżył się uśmiechając:

— Ze dworu waszmość? prawda? zapytał, nowa ofiara tego pajaka.... Już tedy ma znowu kogoś w świecie? A pewnie cię ostrzegał, żebyś od klechy był zdaleka?

Obcesowe to nieco powitanie, trochę zdziwiło z początku Janasza, ale wpręde przyszedł do siebie.

— A wiesz dlaczego ci kazał od klechy trzymać się zdala? ciągnął dalej proboszcz wywijając laską, Dlatego że ja wszystkie jego sprawy znam! że go nawylot nauczyłem się i że radbym z jego szpon wyrzucić każdego, co w nie wpadnie.

Janasz milczał z początku.

— Przebacysz mi, mój ojcie — odpowiedział — wszyscyśmy nie święci i potrzebujemy miłosierdzia dla wad naszych.

Rozśmiał się proboszcz.

— To coś szczególnego, waszmość czujesz się w obowiązku starego bronie.

— Bo ja nie potępiam nikogo.

Popatrzał na ksiądz długo.

— Słyszałem, że się waszmość też Korczak zowiesz? — czy krewny?

— Bardzo daleki.

— Cóż cię tu przypędziło?

— Łatwo się domyśleć, mój ojcie — bieda.

Proboszcz zdawał się być ciekawym, Janasz nie miał powodu taić, ale nie chciał też spowiadać się kładąc winę na Miecznika, część więc życia pokrył zupełnie, mówił tylko o niewoli, o spotkaniu z Korczakiem i o schronieniu, którego potrzebując, znalazł tutaj.

— A wytrzymaszże waszmość z tym kutwą, na skwarkach i oleju? — spytał ksiądz.

— Niewola turecka wiele uczy.

Pomimo, że nie potakiwał wcale proboszczowi, podobał mu się widać Janasz, bo po chwili ksiądz rzekł:

— Dałci mi naukę, za którą, choć duchowny, wdzięcznym być muszę. Jestem do zbytku gorączka i oburza mnie ludzka złość niepomierne. Jako ksiądz pobłażliwszymbyć powinien, ale natury nie zwyciężyć, choć człowiek nad tem pracuje! Bardzo mi waćpana żal, że cię losy do tego sknery zagnały — ale to wasza rzecz. Kiedy ci z tem dobrze, co mnie do tego. Ino słuchaj — jakbyś z głodu marł, przyjdź do mnie na barszcz, *in extremis*. To mówiąc poszedł żwawo wywijając laską.

Zaledwie Janasz do murowanki powrócił, gdy się drzwi otworzyły i Kożuszek, straszliwie przeżuważając i gębę krzywiąc, co było u niego znakiem zakłopotania i złego humoru, wsunął się.

— A co? już z klechą się zetknęli? — wybuchnął — coż ci mówił, gołąbku? Prawda? wieszal psy na mnie?

— Nie — bo jabym tego nie zniósł — odparł Janasz. Mieszkamy razem, jestem u waszmości w domu, więc bym pokrzywdzić nie dał.

Korczak spojrział zdumiony, prawie uszom niedowierzając.

— Aniołku, serce — chyba kłamiesz? odparł po chwili — ja mam takie szczęście psie do ludzi, że mnie nigdy nikt pocziwego nie dał słowa.

— Ja, nigdy nie kłamie — rzekł Janasz krótko.

— A to z ciebie, gołąbku — bardzo porządny człowiek! odezwał się stary. Są tacy ludzie, co wszystko miodem smarują w oczy, znałem takich, ale za oczyma dziegiem — może ty do nich należysz?

— Przekonasz się pan — rzekł Janasz krótko, chcąc przerwać rozmowę.

Mileżąc dobył Korczak plik papierów z za kożuszka i położył go przed Janaszem.

— Żebyś się nie nudził u mnie — szepnął. Podszedł ku drzwiom i wrócił.

— Miałem jeszcze jedną propozycję do zrobienia. Młodemu ruch potrzebny, to ja wiem. Jabym ci furkę dał do Lublina, mam sprawkę w trybunale. Jest tam lotr, pijanica, zbój patron co jej pilnuje, ale jego trzeba pilnować. Ze mną się obył tak, że mnie już nie ma za Boże stworzenie. Możebyś ty się przewietrzył?

— Dlaczego nie? — rzekł Janasz — pojedę.

— Na drogę coś nie coś dam, z domu się weźmie chleb, obrok, sianko, bo takiego sianka jak nasze nigdzie nie dostać. Sera może też kawałek zawiędłego znajdzie gospodini. Młodemu nie wiele potrzeba. I zdrowiej — słowo daję.

Janasz się uśmiechnął, a stary zaczął także śmiać się, jakby z samego siebie.

— Bez pieniądze, ściśle biorąc, możnaby się całkowicie obejść, gdyby nie ci rozbójnicy karczmarze, którzy postójnego wymagają, chociaż naprawdę winni by zapłacić, gdy koń postoi. A nawóz? To też na ogrodach u nich dynie jak beczki! zkadze to? z naszych koni. Fortuny robią karczmarze, taki świat! To darmo. Więc na postojne i na bułeczkę dla odmiany kilka groszyków dałbym, ale proszę z nich o rachunek ściśle. U mnie zwyczaj taki.

Janasz się uśmiechnął znowu i Kożuszek śmiał się także.

Usiadł na próżnej skrzyni i począł cicho:

— Ludzie po większej części, gołąbku mój, ekspensują dla oka. Nie tyle dla żołądka, co dla próżności. Patrzo na futra: kołnierzy ogromny, świat chyba grzeje, bo nie tego, co go nosi; półmisek srebrny, by się ludzie dziwowali i zazdrościli. Drugi z niestrawności umiera, ale specjały je, które mu nie smakują — aby pana znali. Ja tej próżności nie nawidzę. Niech mnie ludzie za nędzarza mają, tom spokojny. Oni się ze mnie śmieją, a ja z nich.

Począł się śmiać — Janasz pióro temperował.

— Zatem jutro do Lublina. Sprawę znasz, boś dokumenta spisywał. Sprawa złota, czysta, jasna, ale ją te jury-chwosty zagmatwali. Mecenas nasz zowie się Pampowski; brzydki się nazywa, ale familia stara. W herbarzu jej może niema, a no w Knapiusza przysłowiaach stoi. Człowiek byłby głową swą królem jurów na całą Rzeczpospolitą, ale pijak. Sprawę zapije często lub prześni i kondemnaty dopuści.

Począł tedy długie opowiadanie o sprawie Skwarka i godzinę o niej prawił. Janasz, któremu trochę się przejechać milej było niż siedzieć w ciemnej izbie u swego kuzyna, przyrzekł zrobić cokolwiek się da z Pampowskim i sprawą.

Przyszło do wyboru; dosyć wspaniałe obietnice gospodarza znacznie się w rzeczywistości zredukowały. Wreszcie gdy przyszło do pieniędzy, zmuszony je wyciągnąć z kieszeni, Skwarka dał starte, najgorsze, jakie miał i to z bolesnem westchnieniem. — Kiedy się to powrócił — rzekł cicho. Fura pełna była siana, obroku i chleba, obrachowanych na podróż z powrotem. Koń wyglądał jakby długie odbywał posty, chłopak miał siermiężkę łataną, ale Janaszowi wszystko to było obojętnem. Pożegnał starego — powlekli się.

Tegoż samego dnia, ponieważ izba zajmowana przez Janasza i przez niego wyporządkowana, była daleko wygodniejszą niż jego własna, Skwarka się wniósł do niej ze wszystkim mieniem swoim.

— Młodemu to wszystko jedno! — mruknął dla uspokojenia sumienia.

Po zapustach i wyjeździe Kasztelanica, w Mierzejewicach znowu pusto było, cicho i smutno. Jadzia chodziła jak dawniej z żalobną swą twarzą, którą tylko promyk czasem jaki rozjaśnił, gdy na równie

smutne oblicza rodziców spojrzęła. Dla nich przysmuszała się do uśmiechu i wesołości, ale nie było to już dawne dziewczęce wesele, ani dawna Jadzia, której śmiech i śpiew cały dom napełniał życiem.

Od tego wieczora, gdy Miecznikowa nakłoniła męża, aby o Janaszu zamilczano i odprawiono go w świat tak bez litości — jakby sobie słowo dali oboje, nie wspomnieli o nim więcej. Gdy Nikita chmurny powrócił i odwiózł Miecznikowi pieniądze nietknięte, wcale tem nie zdziwiony stary, schował je napowrót pod klucz, słowa nie rzekł, ale chodził jak struty. Żonie raz tylko szepnął:

— A co, nie mówiłem? pieniądze powróciły.

Zbladła jejność, zmieszana się i potem nie mówili już więcej. Zdawało się jej i jemu, że spełnili obowiązek święty; tłumaczyli to sobie na różne sposoby dla uspokojenia sumienia, a oboje cierpieli. Jejność udawała wesołą dla córki i dla męża, siliła się na to, a gdy została samą, wzdychała i popłakiwała.

Miecznika trudno było poznać. Z natury swej wesoły, rubaszny, nawykły sobie wszystko na dobre tłumaczyć, śmiać się nawet z rzeczy, które drugich gryzły i niecierpliwiły — zrobił się teraz nadzwyczaj popędliwym i gniewnym. U tego rodzaju ludzi, żywego temperamentu, wesołość się zwykle w niecierpliwość i wybuchy żółciowe obraca. Widziała to jejność, doznali ludzie i cicho szepotali, że Miecznikowi niewola bisurmańska zmieniła charakter.

Na Jadzię nawet, owo dziecię jedyne, pieszczone i ukochane, gniewał się czasami i gderał.

— Ale czegoż-bo waćpanna chodzisz jak ze środy na piątek i wzdychasz a zamysłasz się, mówić do niej. Na to młodość jest, żeby z sobą nosiła wesele? Chcesz czego? powiedz.

— Niczego w świecie nie żądam! dobrze mi, tatku — mówiła Jadzia, ale trudno się do wesołości zmusić, taka natura moja.

— A dawniej nigdy taką nie była? zagadywał ojciec.

— Ja nie wiem.

— A ja wiem, trzeba się z tego otrząsnąć.

Dobierał zabaw i rozrywek napróżno. On i żona chodzili niepokojeni w sumieniu, patrzeli na siebie i gryzli się sobą i córką. Jednakże żadne z nich nigdy o tem rozmowy nie wszczęło; o Janaszu, jakby go na świecie nie było, milczano w domu. Zdawało się, że wszyscy sobie słowo dali, aby go nigdy nie wspominać. Raz tylko Jadwisia z przypadku przypomniała ojcu, że obiecał był na pamiątkę wychowawcowi krzyż na cmentarzu postawić, choć ciało jego tam nie spoczywało, ażeby się ktoś czasem za jego duszę pomodlił.

Miecznik strasznie się zmieszał.

— Kochany tatku — rzekła Jadzia — przecież on sobie na to zasłużył. Uratował mnie i matkę w Gródku — ratował ciebie, sam zginął... to mu się należy.

Miała łzy z oczach i głos drżący — ojciec popatrzał zdziwiony:

— Jak tylko się słowo rzekło — to, to się zrobi, — to się zrobi....

— Krzyż nie będzie dużo kosztował, dodała Jadzia — jabym nawet.... ja mam trochę oszczędzonych pieniędzy, od moich krówek; mnie to niepotrzebne, jabym to dała na krzyż dla niego.

Dokończyła bardzo cicho, spuściwszy oczy. Miecznik stał i palcami kręcił nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Ale to się i bez tego zrobi. Kiedy ci mówię....

Zląkł się w rzeczy, aby córka bez wiedzy jego żywemu nie postawiła krzyża, co uważał za czynnek grzeszny, a grzech cięższyby mu na sumieniu.

— Proszę cię — zostaw to mnie — dodał — ja to sam, w swoim czasie, każe zrobić.

— Ale, tatku, pacierze przepadają, któreby mu krzyż przyciągnął. Jakaż dusza ich nie potrzebuje?

Zboński oczy spuścił. — Cały dzień potem chodził znowu gniewny, a nazajutrz na trzy dni w sąsiedztwo wyjechał.

Nie mógł sobie darować, że poszedł za radą żony. Miecznikowa też czuła, że postąpiła bez namysłu, z wielkiej troski o los dziecka. Gryzli się oboje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

Ludzkie losy. — Życie i śmierć Kaisera. — Umowa z teatrem. — Proces — Dzieła dramatyczne. — Kaiser i Laube. — Nędza i praca. — Benedix. — Gutzkow. — Literatura w Niemczech. — Ma-litt. — Lindau. — Powodzenie. — Charakterystyka pisarza v. Schweitzer. — Komedya „Darwinianie.“ — Typ Roschermanna. — Wieczory polityczne Rudolfa Genée. — Ich treść i układ. — Pismo miesięczne stowarzyszenia kobiet w Berlinie. — Romane historyczne współczesne. — Testament z wyspy S. Heleny Myliusa. — Nouvelle. — Fritz Reuter. — Jego życie. — Pascarel z Ouida. — Literatki wiedeńskie Pani Christen. — Hr. Almasy. — Blum. — Ostatni poemat pani Almasy. — Hrabia Remplin.

Grudzień.

Jak nad dziećmi Kaima przekleństwo jakieś wisi nad głowami tych nieszczęśliwych, co się pracy umysłowej poświęcają. Z wyjątkiem niewielu krajów, z wyjątkiem bardzo małej liczby ludzi, wszyscy niemal wiedzą życie w niedostatku i utrapieniu, w nędzy i o głodzie. — Niedawno bardzo dzienniki umieszczyły opis śmierci tego biednego Kaisera, pisarza dramatycznego, którego sztuki grają po wszystkich niemieckich teatrach z powodzeniem. Kaiser w długach i niedostatku pracując dla córki, którą kochał, znękany chorobą, konał już prawie, gdy gospodarz domu, w którym mieszkał, wyrzucił go za drzwi. Choremu i niemającemu czem opłacić z góry, prawie niepodobna było znaleźć mieszkania.... Żona wreszcie wyszukała jakiś przytułek, do którego gdy wniesiono umierającego, ledwie czas miano postawić trzy krzeselka i położyć go na nich.... skończył.... Nie jest to fakt ani wyjątkowy ani rzadki, powtarza się ta historia w rozmaity sposób codziennie; żadnego wyrobniaka los nie jest cięższym nad tych, którymi później ludzkość się chlubi. Lecz, jako komentarza do tego smutnego końca, posłuchajmy życia biednego Kaisera, który na tych krzeselkach wyzionął ducha d. 7 listopada, a d. 8 t. m. po tej doskonałej reklamie, ostatnie jego dzieło „Królowa brylantów“ dana była z powodzeniem na teatrze w Jozefstadzie! Kaiser urodził się d. 3 kwietnia 1814 r. w Biberach w Würtemberskiem, synem był austriackiego oficera. Ojciec go przeznaczył do stanu duchownego, w uniwersytecie nauki skończył filozoficzne, lecz powołania w sobie nie czując, wolał wstąpić jako kancelista do biura wojennego (przy dworze). Tu już rozpoczął on pisać dla teatru, i gdy mu się parę sztuk dosyć powiodło, porzucił biuro, chcąc się poświęcić zawodowi artystycznemu. Jako malarz pracował u Waldmüllera, parę obrazów odmalował i wystawił, ale teatr silniej go pociągał ku sobie. Nadszedł tymczasem nieszczęśliwy rok 1848: Kaiser wstąpił do Legii akademickiej, dnia 6 października bił się przy moście Tabor (Taborbrücke) — a potem, znowu układał sztuki dla teatru. Carl-Theater przyjął go sobie za urzędowego dramaturga, pod warunkami, które, gdyby nie były czarno na białem pisane, można by im nie uwierzyć i wziąć je za zmyśnione. Kaiser zapisywał się w poddaństwo teatru. Obowiązany był dla żadnej innej sceny nie pracować, co roku dawać sześć sztuk, obrachowanych na siły teatru i do nich zastosowanych, a za to pobierał miesięcznie — zgadnijcie? 24 guldeny; prócz tego dodatkowo za każdy dramat sumę 48 guldenów! Proszę tylko zliczyć co to rocznie uczynił! — Kaiserowi głód dojadł wreszcie, zaprzagnął się uwolnić od teatru tego i o lepsze warunki postarać — ale! wytoczono mu proces, kontrakt był formalny, i sąd nazaczył kary — zgadnijcie znowu? — 64,000 guldenów! Nieprawdopodobne — ale niestety — prawdziwe! Dyrektor teatru, człek pełen uczuć szlachetnych, nie wymagał przecież, aby Kaiser, który nie miał trzech groszy, zapłacił mu 64,000 guldenów, żądał tylko zawarcia nowego, równie korzystnego dla pisarza, kontraktu. — Kaiser naturalnie wolał to raz skończyć i umrzeć.

Ludowe sztuki jego, zarazem komiczne i poruszające, pisane z talentem, z powodzeniem grywane na wielu teatrach — nie mu nie przynosiły, — bo któżby się czuł w obowiązku cokolwiek dać za pracę poecie, gdy mu się aż nadto robi honoru, iż się jego pody karykaturuje na scenie. Z dramatów tego bie-

daka, najpopularniejszymi są: „Mnich i żołnierz“, „Miasto i Wieś.“

Powiecie zapewne: sam sobie był winien. — Zapewne — człowiek jest zawsze winien po części za los, który go spotyka, ale społeczeństwo nad tymi wiekującymi małoletnimi prorokami bez butów, wieszczami w łachmanach, powinno jednak rozciągać opiekę. Rozczuła się ono zwykle dopiero na grobie, gdy już nieborakowi nie potrzeba nic, oprócz — spoczynku. — Sam winien był sobie biedny Kaiser: dlatego nie umiał tak swojego talentu w teatrze, dziennikarstwie i na giełdzie wyzyskiwać jak Laube, z którego miał tak piękny wzór przed oczyma — Laube, pod którym padają teatry — ale on zawsze cało wychodzi ze swemi kilkakrotnie stu tysiącami w kieszeni, a w dodatku ze sława genialnego człowieka! Są czasem takie losy. — Kaiser pracował bez oddechu, niezmordowanie, talent na drobne wióry roztrząsał, nie zrobił nic, nawet dziecięciu ukochanemu nie zapewnił przyszłości. — Laube zaś tak się rozumnie urządził, że i dzieci nie ma — toby mu zawadzało — i pieniądze zbiera.

Przed niedawnym czasem czytaliśmy w dziennikach berlińskich odezwę przyjaciół „bardzo znakomitego i sławnego pisarza“ wzywającą do jałmużny dlań, ażeby *nieumarł z głodu*. Benedix wprawdzie nie z braku chleba, ale z troski o jutro i kłopotów, zmarł także w nędzy, a Gutzkow raz już sobie z tych samych powodów gardło podrzynał. W Niemczech wypadki te są bardzo pospolite. Na jednego Radzcego tajnego i Ministra, J. Ekscellencyę Goethego, iluż biednych Schillerów!

Możnaby sądzić, że z wielkim i szczęśliwym wzrostem niemieckiego państwa dla piśmiennictwa także szczęśliwe mogą przyjść czasy, dotąd ich jednak nie widać — narzekanie jest powszechne. Na czterdziesto-milionowe Niemcy, wprawdzie Gartenlaube odbija trzykroć sto tysięcy egzemplarzy, ale zwyczajna książka, nawet popularna rozchodzi się w półtora tysiąca, nie więcej. — Czytelnie tylko kupują, rzadko osoby prywatne, chyba coś nadzwyczajnie rozgłos miało.

Jak w Anglii cały Shakespeare za dwa złote, tak tu cały Schiller za talara wciska się do chat i ubogich domków, — i do dziś dnia, powiedzić można, Niemcy jeszcze na klasykach wejmarskiej epoki się kształcą. Z literaturą bieżącą o tyle tylko ogół jest obznajmiony, o ile o niej z „Gartenlaube“ lub „Ueber Land und Meer“ — dowiedzieć się może. — Przez te pisma zyskuje się najłatwiej popularność. Autorka Goldelsy, Tajemnicy starej panny, Hrabianki Gizelli, panna Marlitt tą drogą (a zarazem talentem) doszła do sławy, jaką ma w Niemczech. Ostatnia jej powieść „Druga żona“ która już była przerobioną dla teatru, nim się ukazała cała — nie mniejsze od poprzedzających miała powodzenie. Probował wprawdzie bardzo złośliwi i niechętny wszelkiej sławie Paweł Lindau, wysmiewać styl jej, tak jak wyszydził Freitagę, lecz pokuszenie się to, wcale mu się nie powiodło. Ten wilk (p. Lindau) który nosił raz czy kilka, z kolei miał przykre przejście w teatrze, które go spotkało w czasie przedstawienia ostatniego jego utworu pod tytułem: „Powodzenie.“ W Powodzeniu tem (pisarza dramatycznego) dotknął śmiały a raczej zuchwały napastnik osobistości literackich znanych w Berlinie i wyciągnął je na deski teatralne. Artyści przedstawiający dopomagali do charakterystyki właściwą powierzchownością. Wieść o tem sprowadziła na pierwsze przedstawienie interesowanych i ich przyjaciół i wywołała burzę przeciw śmiałkowi. Lindau się tłumaczy, — skandal już ucichł i nie było tak dalece powodu, robić z niego wielkiej rzeczy. — Pan Paweł Lindau należy do utalentowanych w pewnym stopniu felietonistów i dramaturgów szkoły francuskiej. Dowcip jego, styl, sposób pisania, zdradzają wychowanie na wzorach paryżkich, które za to nieodrodny ich naśladowca, przy każdej zręczności oczernia, wyszydza i obluźać się stara. Wielki nieprzyjaciel Francji i Francuzów, redaktor „Gegenwart“ wygląda na matkobójcę. Pisze on wprawdzie po niemiecku, ale więcej z ducha jest felietonista „Figara“ niż Niemcem. — Dramata jego też, bardzo słabe pod względem myśli, w budowie nawet nie dosyć kunsztowne, mają tylko tę zaletę, czysto-francuzką, że dowcipnem, zręcznem prowadzeniem scen wszystko okupują. Brylantowe dyalogi, nieustanny fajerwerk ucinków, odpowiedzi, dowcipów — choćby one z charakterem

osób i ich rolę nie zupełnie się zgadzały—każde zapominając o wtyłach podstawach, na których się te świecidełka trzymają. Jest to *marivaudage*, w swoim rodzaju, od którego i Sardou nie jest wolnym. W ogólności to, o co można słusznie obwiniać pana Lindau, trafia się daleko częściej niżby się domyślać można. Niemiecka literatura prowadzi wojnę z francuzką, ściga ją na każdym kroku, a naśladuje niestannie. Gdzieindziej mniej to może widocznym jest, ale w teatrze co chwila ich łapać można, albo na jawnych plagiatach, albo na mimowolnym naśladownictwie.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY,

„Nadmiar muzycznych produkcji, (jak się wyraża pewne pismo, którego nie wymienię) nawiedził Warszawę. Z tego powodu i nasz „Ruch“ bardzo będzie ruchliwy, tem bardziej że dawne czekają na nas zaległości. Sporo zebrało się wspomnień i wrażeń,—miłych, przykrych, zabawnych trochę, wzniosłych nawet, o których pogwarzyć dziś wypada.

Jakkolwiek silnym i pociągającym jest urok pisania o takich koncertach, jak pani Essipow i Wilhelmięgo, wszakże najstosowniej będzie zacząć od tego co nas najbliższej obchodzić powinno. Pomijając już na teraz wspomnienia zwykłych wieczorków *Towarzystwa muzycznego*, którym na końcu może króciutką poświęćmy wzmiankę, rozpoczniemy nasze sprawozdanie od—Wielkiego koncertu.

Wielkie koncerta naszego Towarzystwa, są niejako streszczeniem jego postępu, areną, na której gromadzić się winny z jednej strony najznakomitsze jego siły wykonawcze, z drugiej zaś grono prawdziwych miłośników i propagatorów poważnej muzyki. Wyznać należy z niewielką przyjemnością, że tak pod jednym jak i drugim względem, koncert tegoroczny wykazał niepomysłne rezultaty. Pod względem siły wykonawczych, nieobecność zupełna chóru przypominała nam wymownie, że takowy żyć już przestał. Po kilkoletnim zaledwie jego istnieniu, szczupły zastęp amatorów składających go rozszedł się już zupełnie — dlaczego? ściśle orzec trudno. Wpłynęła na ten fakt zwykła nasza nieakuratność, może jaki błąd w kierownictwie, lub brak dostatecznej zachęty ze strony Dyrekcji Towarzystwa Muzycznego. Czyja wina i w jakim stopniu, nie badamy—dziś zdaje nam się, że jedynym, nie wiemy czy skutecznym środkiem byłoby mianowanie kierownikiem chóru jednego z zdolnych nauczycieli śpiewu, którego nazwisko dawałoby uczestnikom nadzieję odniesienia prawdziwej korzyści;—drugim środkiem dobrym byłoby może zaprowadzenie niemieckiego zwyczaju płacenia kar za nieobecność i spóźnienie.... Niegłęboka to, ale kto wie czy nie praktyczna propozycja.

Pod względem zebrania się publiczności, koncert przedstawił się również nader niekorzystnie—jeden to więcej dowód, że bez *obcych* i głośnych nazwisk na afiszu, Towarzystwo naraża się tylko na stratę kilkuset rubli, nader dotkliwą w obecnym stanie jego funduszów. A jednak program przedstawiał rzeczy bardzo zajmujące:—Adelaida Beethovena i drobne piosnki odśpiewane przez p. Filleborna, świetna i pełna elegancji gra na skrzypcach p. Friemana, pozostawiły słuchaczom wspomnienie najmilsze. Lecz prawdziwą koroną i ozdobą koncertu była 5-ta Symfonia Raffi, wykonana znakomicie przez orkiestrę Teatru Wielkiego. Ze kilkoletnia wprawa mogła już rozwinąć w p. Zarzyckim przymioty dobrego dyrektora, to nie ulega kwestyi; wszakże i ten względ widać trzeba na uwagę, że orkiestra nasza widocznie *chciała* zagrać dobrze wspomnianą Symfonię. — W wykonaniu uwertury z Egmonta

Beethovena, na tymże wieczorze, spotkaliśmy się ze zwykłą orkiestrą teatru warszawskiego, mającą dość precyzyj, mało poezyi i życia, nie starającą się o nadzwyczajne powodzenie; w akompaniamencie koncertu *Vieuxtempsa* obudziły się wspomnienia jeszcze mniej miłe, tej orkiestry, co wykonywa Don-Carlosa Verdegó, lub która drzemie na Offenbachu (nawiasem mówiąc, marcy); — ale w Symfonii widzieliśmy grono artystów natchnionych duchem wielkiej muzyki, świętym ogniem zapału, tych samych, którzy tak poetycznie cieniowali Antrakt Reineck'ego, tak porywająco grali Żyryndystów Litoffa. Piękne bo też to dzieło, ta Symfonia. Wielkie i śmiałe w zarysach, a proste i zrozumiałe jak wszystkie dzieła prawdziwego geniuszu. Dotąd Raff przedstawiał nam się w swych dziełach jako zrzęzny teoretyk, znakomity instrumentator, szukający raczej złudnych naśladowniczych efektów niżeli myśli wstrząsającej do głębi—nawet jego ostatnia Symfonia „W lesie“ nie mogła nas pogodzić z tym kierunkiem muzyki bardziej sztucznej niż uczuciowej—raczej misternie nakręconej do przedstawienia jakiejś programem zakreślonej treści, niżeli płynącej swobodnym i samodzielny potokiem gorącej lawy natchnienia. Piąta Symfonia niby tą samą a przecież inną idzie drogą; ztąd jej szczytna wielkość, jej nieporównana—przy na pozór realnym programacie—idealność.

Byłem zawsze nieprzyjacielem zakreślenia muzyce celów jej nieodpowiednich—owe malowanie bitew, krajobrazów, scen szczegółowo obrazowanych, wytrącają tę sztukę z właściwego jej zakresu, którym jest uczucie. Muzyka jest *kobietą* i język jej nie znosi rozumowań, plastycznego rozdrobnienia szczegółów, zbyt wyraźnej nareszcie nie ma formy, by do realnych stron umysłu przemawiał—w mglistych krainach wyobraźni tron jej ustawiony — w sercu tajemnej sympatii leży niedocieczona tajemnica jej magicznego wpływu. Weźmy na przykład Fausta: w poezyi to wielki poemat filozoficznych marzeń i zagadek — w muzyce stał się on liryczną sielanką, zaledwie jednym skrzydełkiem potracającą o tajemnicze otchłanie wiedzy. Otello w dramacie Szekspira—to najwspanialsze studjum, będące pomnikową analizą stopniowanego uczucia;—w muzyce dramatyczność przedmiotu streszcza się i skupia na kilku kulminacyjnych punktach, dających nam za to moc wrażeń nieznanych słowu.

Dzisiejsi kompozytorowie, zbyt wiele może hołdując materii, a może brak natchnienia zastąpić pragnąc, zamknęli swą działalność po większej części w rodzaju *charakterystycznym*. Świadczy o tem mnóstwo tak zwanych „Charakter-Stücke“ na fortepian, owe tytuły: „Im Walde. Kampf-spiel, Waffentanz“ i t. p., które tak często spotykamy. Jest w tem może przesada—ale zważmy, że i największe geniusze nie odbiegały od podobnych planów w muzyce. Beethoven pisał *Pastoralną symfonię*, Weber w drugim akcie *Freischütz*a cały świat czarodziejski swą instrumentacją do życia powołał; Chopin lubo nie wypisywał wyraźnie programów na czele

swych kompozycyji—nieraz w poufnych swych zwierzeniach kazał się domyślać, jaką mianowicie scenę przedstawić zamierzał. Schumann dalej nierównie poszedł w tym kierunku, a Liszt i jego szkoła potężnym rozwojem instrumentacji otworzyli szerokie pole rodzajowi charakterystycznemu. Bezwzględnie więc go nie możemy potępiać — gdyż programat, świecący w duszy kompozytora, bywa widocznie niekiedy tą nicią Aryadny, która nieraz jego geniusz prowadzi bezpiecznie po ścieżkach własnego jego duchowego labiryntu. Im program ten prostszy, ogólniej ludzki, tem dzieło muzyczne piękniejsze. Podczas gdy w Symfonii leśnej Raffi z trudnością mogliśmy podążać za fantazyą kompozytora, przedstawiającą niby tańce i łowy jakichś nimf i bogiń; w „Lenorze“ widzimy w kilku zarysach postawione temata ogólnoludzkie: „Szczęście w miłości — rozłączenie (przez wojnę) — połączenie w śmierci.“

Dlatego też dwie części pierwsze dzieła, Allegro i Adagio — przedstawiające owo szczęście w miłości—są tak jasne i przejrzyste pod względem swej formy muzycznej. Allegro—to miłość wesola i dzielnie patrząca w przyszłość życia. Adagio—to czuła zaduma i tkliwy rozhovor dusz zupełnie sobie oddanych. Szczególniej ten drugi ustęp pod względem prostoty i rzetelności tematu, szerokości obrobienia, Beethovenowska prawdziwie ma skończoność — a kończy się miłym szezebiotem instrumentów, niby rozmową, eokolwiek duchem swoim zbliżoną do rozmowy ptasząt przy końcu Andanta z Pastoralnej symfonii. — „Rozłączenie“ — to marsz bardzo piękny i prosty—wśród którego burzliwsze minore dość dobrze, lubo może nie dosadnie przedstawia uczucia kochanków. Ostatnia część—Finale—najbujniej rozwinięta pod względem fantazyi—mogłaby dać pole do największej krytyki. Całe piekło odsłania nam autor w dziwnie pięknej instrumentacji — niskie tony fletów, brane tercjami, zgrzytają grobowo—tryle podwójne klarynetów dziwnie i do złudzenia chichot diabelski naśladują — kończy wszystko spokojny chóral w majorowej tonacji—będący pieśnią ukojenia i tryumfu. Wyznaję szczerze, że w obec tak kolosalnie pojętej całości symfonii, nie śmiem ganić jej programatu—nawet owa walka piekielna wydaje mi się szczytnym pomysłem—bo dusze bohaterów takim krwawym trudem rozdarte za życia, również bohaterską walkę i w zaświecie stoczyć powinny, zanim sobie zdobędą odpocznienie i nagrodę. Mogę tylko w zdumieniu uchylić czoło przed mistrzem, któremu zawdzięczam jedno z najwspanialszych muzycznych wrażeń, doznanych w życiu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów pisma „Bluszcza“ z dodatkiem dzieł J. I. Kraszewskiego, dołącza się do numeru dzisiejszego, tom LXX ogólnego zbioru, to jest powieść pod tytułem:

„U L A N A”

Powieści J. I. Kraszewskiego wychodzą tomami, a mianowicie 5 — 6 tomów kwartalnie. — Prenumerata wynosi dla prenumerujących *Bluszcza*, kwartalnie Rs 1 kop. 75; — dla nieprenumerujących *Bluszcza* Rs. 2 kop. 50.

Wydawnictwo to rozpoczęło się z dniem 1 października 1871 r. — Wyszło dotąd tomów siedm-dziesiąt.

TREŚĆ: Z harmonij jesiennych, (poezya), przez Felicyana. — Książki dla dzieci. — Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia (dokończenie). — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg) przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej wiecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Listy z zagranicy**, przez J. I. Kraszewskiego. — **Ruch muzyczny**, przez Jana Kleczyńskiego.